



SŁOWO O TOWARZYSZU

I
Za oknem słońce.
Słońce.

W słońcu bawią się dzieci.
Piękny jest świat na wiosnę,
gdy słońce świeci.
Rzeka Warta nizinna —
w szmerach i pluskach.
Nad brzegiem wiatr w wiklinach,
słońce w srebrzystych łuskach.
Wiosna.

II
Dzieje — to rzeka
niepowstrzymana w biegu.
Łatwo unosi człowieka
i zostawia na grząskim brzegu.
Łatwo jest płynąć z prądem —
— walczyć jest trudno.
Napiszę o Nim.
On stał u źródła.

III
Urodził się w groźnych czasach
(mój ojciec je dobrze pamięta),
kiedy domem dla robocizna-
była carska cela więzienna.
Puchły, puchły fortuny Gromanów,
niebo pruły kominy fabryk,
w walce krzepły siły gromady
na przedmieściach od nędzy czarnych.
I gdy carskiej policji ręta
w strajkujące kolumny parła —
razem z Nim się rodziła i rosła
Partia.

IV
Rewolucja. Świat drży w posadach.
Dopala się wojny płomień.
Na City, w bankierskich salach
Obliczają zyski ze zbrojeń.
A w Warszawie mrok. Po ulicach
Wiatr z żandarmem pod rękę chodzą.
Dudnią werble. Na front idą armie.
Głód i zamięć czyhają na drodze.
W suterynie, nad świstkiem ulotki
robotników twarze spokojne —
to towarzysze Bolesław Bierut
agituje przeciwko wojnie.

V
Noc faszyzmu czarna jak węgiel.
Płomieniem wybucha walka.
Witało Go strajkiem Zagłębie.
Walczyła Partia.
Kiedy krążył po celi więziennej
w sercu wielkim płonął Mu Polska —
razem z nią, tak jak w sercu poety
płonęły piece Magnitogorska.

VI
Dzieciństwo moje w Warszawie.
Jak przez mgłę pamiętam:
Stare Miasto — kamienice z herbami
rzeźbionymi w szarym marmurze,
kolumnę Zygmunta w chmurze
i szare staromiejskie gołębie
pod moimi oknami.
Wisi mostami spiętą
w sercu pluskająca coraz głębiej...
Dzieciństwo — to dla snów najbliższych przystań.
Tys, towarzyszu ukochał Warszawę,
walkę jej lat minionych
i trud, co dźwiga ją w przyszłość.
W sercu rosną Ci nowe domy
i szumi falą Wisła.

VII
Miliony ludzkich istnień
Uniosł dym krematoriów.
Wróg nam serca spopielił
W czasach mordu i zbrodni.
W najciemniejszym mroku okupacji
Nam się rozdził o wolności sen —
Powstawała nasza pierwsza władza
Na ulicy Twardej — K. R. N.
Za oknem słońce.
Słońce.
W słońcu bawią się dzieci.
Piękny jest świat na wiosnę,
gdy słońce świeci.
Przewracam kartę Nowych Praw.
Z nich ta opowieść.
W nich jest wszystko: słońce i wiersze,
nowe życie i nowy człowiek.
Rzeka Warta nizinna
w szmerach i pluskach.
Nad brzegiem wiatr w wiklinach,
słońce w srebrzystych łuskach.
Wiosna.
Robotnicy idą na drugą zmianę.
Tętni fabryka — serce Partii.
— Ty masz lat 60, Towarzyszu!
Prowadzisz.
Nauczasz.
Walczysz.

EDWARD BERNSTEIN

Jacek Milczewski

WSPÓŁZAWODNICY

Stanęli na pobielanej grubej krecie wapna linii. Maszyny grzmiły kaskadami, wybuchów. Pełna trybuna przycichła. Wszyscy czekali na start. Kilku zawodników krążyło jeszcze poza linią próbując maszyn. Włazali wydłużone ósemki, rozpędzali motocykle.

Nasunęli okulary na oczy. Wzrok z trudem przebiegał niebieskawym obłok dymu. Spaliny roznosiły zapach osty, drażniący, który podniecał bliżej stojących widzów. Tak samo chyba działał zapach stajni, gryzącego potu wierzchowców na miłośników wyścigów konnych. Huk motorów, napięcie nerwów, — oto nastroj wyścigu.

Henryk wylosował sąsiedni numer z Szymańskim. Obaj jechali na jednakowych maszynach. Młodszy rozkręcił się nad siodełkiem i wparty nogami w ziemię czekał na sygnał startera. Szymański był starszym zawodnikiem. Niósł za sobą doświadczenie wielu wyścigów, znajomość techniczną maszyn i jazdy. Obok motocykla stał jego mechanik Wieracek. Linie twarzy, nosa, oczu miał zarysowaną ostro, jakby jednym, grubym pociągnięciem ołówka. W rysunku profilu tkwiła jednak jakaś fantazyjna swoboda, nie trzymająca się żadnej z reguł kompozycji. Dlatego odnosiło się wrażenie, iż Wieracek ma charakter łobuzerski i tak też było w istocie: czapkę nakładał na trzy czwarte czoła, nie dbała.

— Dodaj gazu — krzyknął w ucho Szymańskiego.
Słuchał chwilę jęku motoru prującego powietrze strumieniem wybuchów.

— Dobrze pali. Uważaj tylko na znaki — starał się przekrzyknąć hałas. Głowa uzbrojona kaskiem, okularami, jakaś nierealna, pochyliła się. Kraciasta chorągiew spadła na dół.

Silniki ryknęły oddechem palonej benzyny. Z rur wybuchowych trysnęły strumienie dymu. Wydało się, iż sam ten strumień gorących gazów pędzi koła. Tłum jak echo odpowiedział maszynozynom.

— Aaaa! Ruszyli!

Wpadli na wiraż. Był bliżej wewnętrzznego koła.

Już. Szymański prowadził.

Gazu! Przebrnął piach na zakręcie. Przerzucił bieg. Motor płuął pełnymi obrotami.

— Prowadź! — krzycało z trybun.

Za nim wydarł się z cizby motocykl Henryk. Wykorzystał nieuwagę sąsiada, gdy ten zwolnił o kilkadziesiąt obrotów. Podciął maszynę. Wyrwał się jak rasowy koń wyścigowy w instynktownej pogoni za rywalem. Piach sypał się spod kół, jak woda z motopompy. Oślepił jadących za nim. Henryk miał Szymańskiego przed sobą. W pędzie maszyny niewiele widać. Przed oczyma skacze na wybojach sylwetka kierowcy, przykurczona, pozbawiona szczegółów. Wyrazny jest tylko numer startowy — „15”.

Wiraż. Henryk kładzie maszynę. Za ostro. Szymański zna lepiej tor. Pochyla ostrożnie, a przecież dodaje paliwa. Spod tylnego koła opatrzonego grubym protektorem sypie się ziemia. Obłok piachu. Opona rwie trawę. Henryk rzuca okiem na obrotomierz — 6200.

Mało! Ruch ręki. Czuje jak koła rwą na strzępy darni.

Obie maszyny wdzierają się pod górę. Silniki wyją

MOTOCYKLISTOM WYŚCIGU O „PUCHAR POKOJU”, KTÓRZY SWÓJ WYSIŁEK POŚWIĘCAJĄ UCZCZENIU 60 ROCZNICY URODZIN SWEGO WIELKIEGO PRZYJACIELA I OPIEKUNA — PREZYDENTA BOLESŁAWA BIERUTA

— dedykuje to opowiadanie sportowe autor.

jednym skowytom wybuchów. 6500!

Mało! Szymański jest tuż. O cztery koła przed nim. Już wpadli na prostą. Odkręcił raczkę gazu. Cała! Co za szybkość! Henryk widzi uciekającego zawodnika. Goni. Więcej gazu! Więcej... Między hukami silnika słychać krzyk trybuny.

— Dogonię „piętnastkę”! Doogooniiiii!

Kierownicę rzuca między dziurami. Silniej rękoma. Uda kurczowo ściskając zbior-

Wycisnąć sprzęgło!

Próbuje dodać gazu. Nie pali. Do mety pięćdziesiąt metrów.

Z tyłu nadciąga reszta zawodników. Henryk zeskakuje. Pcha ciężką maszynę. Żeby zdążyć. Jeszcze kilka metrów. To już nie o zwycięstwo. O prawo walki w finale. Słyszysz grzmot następnego motoru. Tuż za sobą. Biała linia bliżej. Chwieje się. Przez zakurzone okulary mający starter z kraciastą chorągiewką. Henryk pcha motor, ale nogi sztywnieją. Jeszcze parę me-



O PUCHAR POKOJU

F. Smółkowski — drzeworyt

nik. Henryk stopił się w całość z motocyklem. 6900 obrotów!

Jeszcze, jeszcze! Szymański jest już o trzy koła. Dwa...

Drugie okrążenie. Wiraż. Henryk wchodził weń tuż za „piętnastką”. Chce brawurą zwyciężyć doświadczenie. Trochę tylko przymknął gaz. Wpada na piach. Motocykl gwałtownie zarzuca.

Wytracił szybkość!

Przedej, bo wywrotka, zamknąć gaz! Zupenie! Maszyna zatacza się jak pijana. Ludzie na zakręcie przymykają oczy.

— Upadnie!

Obłok kurzu pełny ostrego, gryzącego smogu spalin zasłonił zawodnika na ułamek sekundy. Motor ryczy na wysokich obrotach.

Gonić „piętnastkę”!

Szymański uciekł. Błąd Henryka dał mu prawie sto metrów przewagi. Na trybunach podniecenie. Kilkadziesiąt tysięcy par oczu ściga dwie sylwetki pędzące na dwu kołach. Henryk na prostych skręca całą raczkę gazu. Szarpie nawet, gdy natrafił na ostatni opór.

Do ósmego okrążenia sytuacja nie ulega zmianie. Na prostych Henryk zbliża się nieco do Szymańskiego, ale krzywiżny należał do „piętnastki”. Na precyzyjnie wyznaczonej szybkości wchodził w wiraż. Wcześniej podcina maszynę i jak pocisk wypada przed trybunę.

Ostatnie okrążenie. Henryk pierwszy zakręcił bierze ostro. Zyskał dwadzieścia metrów. Drugi wiraż 6300 obrotów. Jeszcze trzydzieści metrów. Dwadzieścia. Piętnastka. Za chwilę trybuna. Publiczność wstaje. Ludzie krzyczą.

Gazu! Gazu! Henryk przykleił się do kierownicy. Nie usłyszał krótkiego trzasku. Motocykl gwałtownie traci szybkość.

kość jego nerwy. Przez ściśnięte koło zawodników przebiegały się lokiami Wieracek.

— Józef! Zdejmij! Ino te lupiny — powiedział do mechanika.

— Czego...? — w głosie czuło się rozdrażnienie. — Zapasowego nie ma.

Wieracek wyciągnął brudną od oliwy rękę.

— Jest.

Krag ludzi ścisnął się. Naprawdę. Mechanik Szymańskiego przyniósł nowy komplet magneta.

— Odejdźcie trochę, bo robić nie można. No nie tłoczcie się tak. Motoru nie widzieliście? Magneto zwyczajnie. Żadnych cudów nie ma — perswadował chwilę, a potem kucnął przy maszynie Henryka.

Odkręcili zepsutą część, nałożyli nową. Wieracek przyglądał się nastawieniu magneta.

— Za późny zapłon dajesz. Trzeba weześniejszy.

— Maszyna moc straci.

— Eee. Gadasz...! — mechanik wzruszył ramionami. Dechu jej starczy. Zawsze swoje trzydzieści pięć koni ma. Na tym torze motor musi przędko przechodzić na wysokie obroty. Rozumiesz? Tego trzeba. Daj, sam nastawie.

Nastawił.

— Zapalcie.

Henryk nasunął okulary. Pchali kilkanaście metrów. Motocykl kasnął, przyznał, wyrwał się do przodu. Spróbował kilka razy spurlu i wrócił.

— Przegazuj — rozkazał Wieracek.

Motor ryknął posłusznie.

— Zgas. Poprawię jeszcze.

Przesunął magneto o jemu tylko znany ułamek milimetra. Przykręcił śruby.

— Spróbuj jeszcze raz.

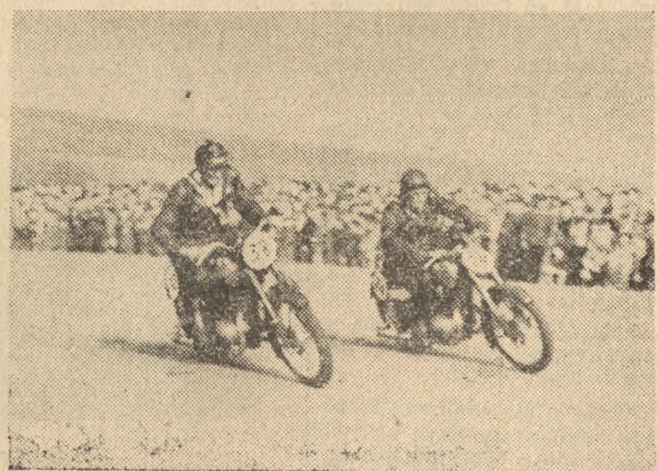
Megafony zapowiadały bieg finałowy.

Henryk podjechał do linii startowej. Zajął swe miejsce obok „piętnastki”. Przez grzmot dziesięciu motorów nie ma co krzyżać — i tak nie słychać. Trafił więc wyciągniętą ręką Szymańskiego. Potrząsnął przed sobą ściśniętymi dłońmi w grubych rękawicach. Starszy zawodnik pochylił głowę w hełmie na znak, że rozumie. Starter wypuścił leżące maszyny. Zostały trzy najcięższe. Chorągiewka idzie do góry.

Uwaga! Start!

Byle bliżej środka. Henryk jedzie pół koła za Szymańskim. Jada jak bliźniacze konie. Równie pochylone. Koniec wirażu. Henryk przykręca raczkę gazu. Teraz jedyna szansa. Motocykl podrywa się do skoku. Już prosta. 7100 obrotów! Prędkiej! Prędkiej!

Publiczność wstaje z miejsc. Henryk przed Szymańskim. Pięć! Nie! Dziesięć długości. Nikt nie patrzy na słabsze motory. Ci dwaj — to walka. Młodość i brawura, rozwaga i doświadczenie. Kto będzie pierwszy. Gazu! Gazu...



Ryby, przodkowie nasi i ks. Kluk

Przed laty królowali w naszych rzekach rodzime ryby. Jesiotr wspaniały, bystry łosoś, sum wielki samotnik i olbrzymi karp dziki. Żyją jeszcze do dzisiaj rybacy w Poznaniu, którzy dobrze pamiętają dalekie zagony warciane owych wielkich ryb, ciągnących aż pod nasz gród rodzimy. W latach 1907, 1912, 1915 rybacy ze Śródk i Zagórza, jak Czesław Dembiński, Walenty Kardacz i Michał Nowak — wszyscy mistrzowie cechoi — sieciami ciągnionymi, drygawicami bądź wężonami, obstawiali pobliskie jesiottowe łowiska koło Głównej (Poznań-Wschód!), dalej pod Naramowicami i w zakosach rzeki pod Owińskami. Jeszcze w roku 1909, starszy cechu rybaków poznańskich, Wawrzyn Gałuski, na jednej tylko toni złowił 11 sztuk jesiottów — i to nie były jakie okazy. Dochodzące do 200 kg.

Mimo więc, że jesiott nigdy już chyba do nas nie wróci, to jednak po ostatnio odławianych łososiach bądź trociach warcianych i noteckich — słusznie można wnioskować, o stałym podnoszeniu się — na wielu odcinkach rzecznych — bytowych warunków dla wielu gatunków ryb szlachetnych.

W dawnej Polsce, mimo, że myślistwo stawiano na pierwszym miejscu jako bardziej zbliżone do rzemiosła ryckiego, nieraz wszakże parano się i rybolowstwem, a niejednemu nasz przodek czałował na wielkiego suma bądź łososa z ościeniem czy oszczepem przy smolnym łuczywie. Niezależnie jednak od tych zamilowań natury czysto emocjonalnej, również sama gospodarka stawowo-hodowlana była dość poważnie rozwinięta. W literaturze naszej znajdujemy liczne na ten temat wzmiarki. Wspominają o tym tacy autorzy jak Dubravius, Mikołaj Rej, Jan Kochanowski, Andrzej Zbylitowski, Kacper Twardowski, Hieronim i Andrzej Morsztynowie, Girdwoj Michał i wreszcie najwięcej nas interesujący, ks. Krzysztof Kluk. Jest to postać księdza postępowego, żywo zajmującego się naukami przyrodniczymi. Skromny i cichy ten proboszcz, żył w Ciechanowcu na Podlasiu (1739—1796) i już za życia wydał o współczesnych poważne imię, pisząc pierwsze podręczniki szkolne z historii naturalnej dla szkół tworzących przez Komisję Edukacyjną.

Ks. Kluk przez całe swoje życie z zamilowaniem obserwował naturę i szczerze umiłowal urok i skarby przyrody ojczyzny. Temu ukochanemu tematowi poświęcił wielotomowe dzieło, wydane w roku 1789 w Warszawie, pod przydługim nieco tytułem: „Zwierzat domowych i dzikich, osobliwie krajowych Historii naturalnej początki i gospodarstwo”. Tom trzeci zawiera dzieło o „Gadach i rybach”, bardzo szeroko i szczegółowo napisany, bo na dwustum przebiegło stronach. Wzorem praktycznych uczonych epoki Oświecenia, ks. Kluk pisze o rybach krajowych i „gospodarstwie około nich”, dając równocześnie naukową ich systematykę i opisy wraz z praktycznymi pouczeniami, dalej o gospodarstwie rybnym, stawach i sadawkach, o zarybieniu i hodowli, a nawet o przyrządzaniu z nich potraw. Przytacza następnie rozmaite rodzaje rybolowstwa; zna takie przyrządy rybaczkie jak niewody, żaki, drygubice, wierzse matnie, włoki, raffle i kacerze. Omawia wreszcie węgorz i łososiarnię oraz przytacza i opisuje różne inne sposoby połowu ryb.

Ale posłuchajmy, co ks. Kluk mówi szczególnie ciekawego o rybach, tym więcej, że niżej podpisany — uczciwie przyznając — starał się właśnie wyłuskać najoryginalniejsze fragmenty. Nadto, zdając sobie na leży sprawę, że ichtiologia — czyli nauka o rybach — jest dyscypliną stosunkowo młodą. Ryby bowiem i pozostali mieszkańcy głębokich toni, zarówno ze względu na początkowy brak pomocniczych środków naukowych oraz niedostatek metod poznawczych — byli o-

biektami trudnymi do podpatrzenia i zbadania.

Co więc ks. Kluk mówi o długowieczności ryb?



„Życia długość ryb musi być nadzwyczajna, jeżeli od takich nie wyginą przy padkach. Nadmieniam Gesner, że widział ułowionego z znacznym karpia, który miał lat sto. O drugim takim namienia Boerner. Zeylerus pisze o szczupaku w Wolinie na Pomorzu, ułowionym Roku 1525, który od starości zbiegał jak śnieg. Pod Heilbronn w jeziorze ułowiono szczupaka Roku 1497, który miał długości stóp 19 i jako znać było z tabliczki miedzianej przyczepionej, był wyszczupiony od Cesarza Fryderyka II Barbarossy Roku 1230, a zatem żył 267 lat. Ważył 350 funtów...”

Czy ryby słyszą?

„Względem słyszenia, jeżeli się komu skrzyła uszami być zdają, upewnić można, że to dlatego, że tak mało inny koniec ma; są bo wiem narzędziem oddychania. Z tym wszystkim są niepodważane dowody tego, że ryby słyszą... Namienia Harduin w swoich uwagach nad Historią Naturalną Pliniusza, że Karol IX Francuski, w stawie bliskim swego zamku chował morskiego włoka, który na głos Lupule zwykł był przychodzić, i prawie z rąk odbierał chleb na pożywienie...”

O przydatności mięsa rybiego dla człowieka:



„Z tym wszystkim, mięso ryb, ogólnie mówiąc, nie bardzo pożyteczne jest zdrowiu ludzkiemu, przynajmniej tę różnicę uczynić trzeba, że nie wszystkie nie zewsząd, i nie zawsze równie dobre są. Owe, które białoribami nazywamy, najpodlejsze są. Niełuskowe daleko nie są tak zdrowe... Co do czasu, nie zawsze jednakowe są: raz tłustsze, drugi podlejsze, a zawsze czas tarcia nikczemne...”

O jesiottre — gadzie krajowym używanym:

„Jesiott pospolity, bywa różnej wielkości, od półtora do 9 łokci długości... Powiada, że tak daleko Wisi, w górę postępuje, aż wody Sanu zakosztuje, poty się wraca... Mięso jego jest białe, miękkie i posilne: ustom przyjemne, żołądkowi zadane, tłustość tylko zdrowiu jest przeciwna... Z ikry czyni się przyprawa wiadoma pod imieniem Kawiar...”

O łososiu rybie wolnej:

„Łosoś, jest najprzedniejsza i najsłodsza z ryb. Ryba, nie zbytnie mała, i pięknie łuskami okryta... Mięso łososa czerwone jest tłuste i smaczne, wiele go przecięż zażywać zdrowiu ludzkiemu, szkodliwe jest, osobliwie słabym niezdadne: strawne zaś żołądki nie mają się czego obawiać... Owe zaś, które się przez rok bawią w rzece, zawsze są nikczemne... Żółć łososa dobra jest na fluxy i plamy oczu: a tłustość na wrzody i wszelkie bole uszu...”

O smaku mięsa karpiołowego:



„Mięso karpiołowe jest łatwe do strawienia i daje dość dobre pożywienie. Mówią, że czyni flegmiste i grube soki, przecięż zle skutki widzieć się dotąd nie dają, wyjąwszy, że skłonni do

Marian Jaśkowski

kolki i kamienia, wystrzegaj się go powinni. Głowa jest najprzyjemniejsza. Do lekarstw zażywa się owa trzyrogatka kostka, w głowie przy pacierzach będąca, która trzymana w uszach uśmierza zgałę i ból brzucha...”

Uwagi o szczupaku



„Szczupak pożera i wyrzucone mięso, kieszki różnych zwierząt. Często stokróż się łowi i ptaśtwo na wodzie pływające, czego osobliwie młode kacząta doznają... Wiadoma jest rzecz o której pisze Rzeczyński, że szczupak pochwylił lisa wodę piącego. Są upewnienia, że, osobliwie znaczne, i ludziom w wodzie nie przepuszczali... Żęby i szcoki (szczeki) na proch utłuczone, krew zamuloną rozwalnia i kwas żołądkowi odbiera. Też go poszku od pol aż do całej kwintli zażywszy, uśmierza się kolki w bokach. Jeszcze tymże proszkiem posypane goi się różne rany. Żółć z żywego szczupaka wyjęta i zażyta, uspokaja febrę. Dzieciom kaszlącym i spać niemogącym, smarują się podeszwy u nóg tłustością szczupaka przy wolnym cieple...”

O smaku i przydatności lina:

„Niektórym wprawdzie mięso lina smaczne się być zdaje, wyznaczyć przecięż trzeba, że błotem zawsze traci, chyba że pierwej gorącą wodę z popiołem dobrze będzie wytarty... Na zbytnią gorączkę rozdziera

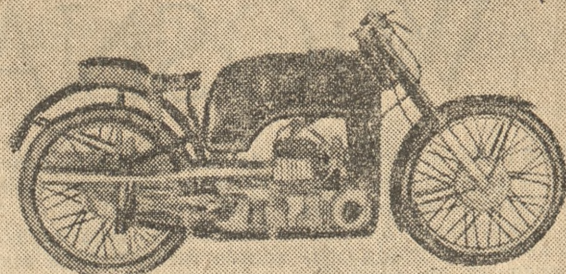
się na grzbiecie i wewnętrzna strona przykłada się do dion rąk i podeszwom nog. Na bole w stawach przykładają się na pępek ieden pod drugim żywy aż zdechnie...”

Można w dziele ks. Kluka wyczytać jeszcze więcej ciekawych rzeczy. Czytamy więc tam, o łowieniu ryb oszczepem, zwłaszcza przy nocnych łatanach, o łowieniu na lodzie przez ogłuszanie ryb itp. Po- daje również „Kalendarz Rybołowski”, kiedy najlepiej łowić różne gatunki ryb, kiedy przypadają okresy tarła, kiedy złowiona ryba jest najsmaczniejsza itd. Są u niego i myśli, świadczące o racjonalnym podchodzeniu do zagadnienia hodowli ryb, kiedy żąda przestrzegania czasów ochronnych, zakazu trucia wód oraz kiedy formułuje już pewne zasady sportowego połowu.

Mimo więc pozornie licznych naiwnych spostrzeżeń i pseudonaukowych twierdzeń — często podsytych zabobonem, stwierdzić należy bezstronnie, że opisy szeregu gatunków ryb zawierają słuszne uwagi, które w naszych czasach nauka następni potwierdziła.

Jakkolwiekby było, postępowy — na ówczesne czasy — ksiądz przyrodnik, również i w innych dziedzinach przyrodniczych nauk dobrze się zasłużył nauce polskiej i stał wdzięcznym ziomkowi, na pomniku nagrobnym umieścili płaskorzeźbę, na której wielkiemu miłośnikowi przyrody ojczyzny, składają hołd: rolnictwo, ogrodnictwo, rybolowstwo, pszczelnictwo i górnictwo rodzime.

M. JAŚKOWSKI



Radziecki motocykl wyścigowy „S2B”

W Związku Radzieckim daje się zauważyć coraz większe zainteresowanie sportem kolarskim, a w szczególności motocyklowym. W ciągu ostatnich lat sportowcy radzieccy pobili przeszło 120 rekordów na motocyklach różnych typów. Szybki rozwój tego sportu skłonił radzieckich konstruktorów do obmyślenia najpraktyczniejszego typu motocykla wyścigowego. Typem takim stał się wyścigowy model motocykla „S 2 B” o pojemności 250 ccm.

Konstrukcja silnika tego typu opracowana została według oryginalnego schematu bezpośredniego przełotu, wyłączającego wsteczny ruch prądu mieszanki paliwa i spalinywych gazów. Silnik jest dwusuwowy, posiada wały korbowe z odwrotnym ustawieniem V cylindrów. Każda para cylindrów ma wspólną komorę spalania. Kolankowe wałce połączone są między sobą trybami wypełnionymi na licach korbami. Motocykl posiada kompresor typu obrotowego.

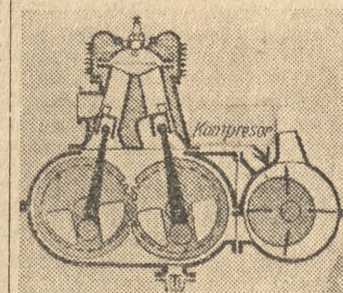
Bezpośredni przełot, zabezpieczający lepsze napełnienie i oczyszczanie cylindrów

oraz umieszczenie kompresora, doprowadzającego do cylindra mieszankę paliwa i powietrza pod zwiększonym ciśnieniem, pozwoliły zwiększyć litrażową moc silnika bez forsowania go. Moc silnika wynosi 40 km przy 7000 do 7200 obrotów na minutę. Stopień sprężenia 5,2. Karbowy mechanizm, pracujący na tak zwiększonych obrotach mocno obciążony jest zarówno naciskiem gazu jak siłą energii wzrastających proporcjonalnie do kwadratu katowych szybkości. Dla zmniejszenia siły inercji i strat spowodowanych tarciem, konstruktorzy poszli po linii zmniejszenia rozmiarów i jak największego oddziaływania grupy tłokowej i korbowej mechanizmu. W silniku „S 2 B” średnica cylindra wynosi zaledwie 33,5 mm, a skok tłoka 70,5 mm.

Tak mały model zmniejszył siły inercji i znacznie polepszył warunki ochładzania silnika. Jednakże z powodu zwiększonego ładunku cieplnego trzeba było zrezygnować z ochładzania powietrzem i przyjąć chłodzenie wodne systemu termosyfonowego.

Dwukorbowy system doskonale równoważy się inercji i ułatwia konstrukcję rozmieszczenia kompresora. — Gaźnik jest specjalny. Posiada dwie pływakowe komory z powietrznym korektorem. Zapalanie odbywa się magnetycznie. Sprzęgło jest wielotarczowe, suche, materiał trących się powierzchni jest ze specjalnej stali. Skrzynka biegów — 4-stopniowa z pedałowym przełącznikiem. Rama rurowa podwójna. Przednie widełki są teleskopowe z hydraulicznymi amortyzatorami podwójnego działania. Powiązanie sprężynowe zawieszania tylnego koła i teleskopowych widełek zapewnia miękkość biegów i polepsza sprzężenie tylnego koła z pierwszym, co daje możliwość pełnego wykorzystania maksymalnej mocy silnika dla osiągnięcia wielkiej szybkości. Przednie i tylne hamulce są wzmocnione, hamulcowe bębny mają żeberka chłodnicze. Długość motocykla — 2.153 mm, szerokość — 675 mm, wysokość 1.052 mm. Rozpiętość między osiami kół 1.460 mm. Waga motocykla (sucha) — 147 kg. Pojemność zbiornika dla paliwa — 30 litrów.

W wyścigach na krótkich i długich dystansach motocykl „S 2 B” wykazuje dobrą wytrzymałość i wysokie wartości dynamiczne. Mistrz sportu radzieckiego Matiu-



szyn na maszynie tego typu w 1950 r. pobili 5 wszechzwiązkowych rekordów. Największa szybkość, jaką rekordzista radziecki osiągnął na motocyklu „S 2 B”, wynosiła 174,503 km na godzinę.

Opr. J. L.

(h)

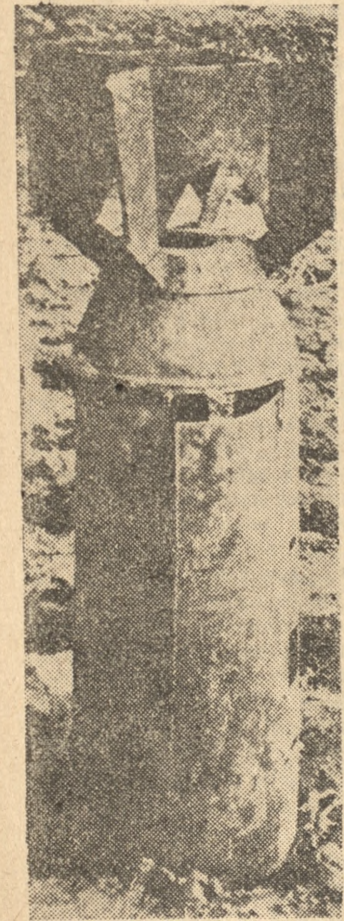
WIOSNA w KOREI

Phenian, w kwietniu
W Phenianie nastąpiła wiosna. Zazielenia się pierwsza trawa, wydostając się spod kamieni, które pokrywają „dachy” schronisk. Na rzecze Tedonganie spłynął lód, woda wezbrała i spienila się, gotowa za chwilę rzucić się na brzeg. Wezszym rankiem pierwsze ptaki, zwiastuny ciepła, zlatują się do wody i trzepocząc skrzydełkami, pija chciwie.

W Korei nastąpiła wiosna, lecz, jak niedawno, w błękitnym powietrzu walczą samoloty. Wróg nie chce, aby ludzie cieszyli się wiosną, ciepłem, słońcem i polami gotowymi przyjąć ziarno przyszłego urodzaju. Pierwsza ryba wyłowiona w Tedonganie zarażona jest śmiertelnym jadem. Beztroskie ptaszynki, których szczebiot rozwesela dzieci, niosą w swoich drobnych ciążkach mikroby śmierci, a po ziemi zalanej słońcem pełzną owady, wyhodowane w bakteriologicznych laboratoriach i zarażone dżumą lub cholera.

Amerikanie odebrali życie setkom tysięcy niewinnych ludzi, a miliony pozbawili dachu na głowę. Obecnie chcą zabrać Koreańczykom wiosnę i temu słonecznemu słowu nadać złowieszczy, jadowity, trupi kolor. Chcą, aby ludzie bali się wesołych, wiosennych potoków wody, śpiewu ptactwa i zapachu ziemi. Lecz nie ma na świecie takiej siły, która mogłaby powstrzymać zwycięski pochód wiosny, która mogłaby zabić w ludziach najszlachetniejsze uczucie miłości ojczyzny.

Idzie wiosna po ziemi koreańskiej, a towarzyszą jej w tym roku niezwykle zjawiska. Kolumny chłopców i dziewcząt w białych sanitarnych płaszczach biorą próbki wody w każdym wiosennym potoku, rozsypują po zbudzonej do życia glebie silnie działające, przeciwepidemiczne środki, które zwyciężają pełznąca, ryjącą się i latająca



Bomba bakteriologiczna

śmierć nastaną przez Amerykanów. Sztab do walki z bakteriologicznym niebezpieczeństwem pracuje dzień i noc. W Miejskim Komitecie Ludowym Phenianu trwa stale gorączkowy ruch. Przychodzą i odchodzą lekarze, kompletują się coraz nowe brygady sanitarne. Każda ulica, każdy skrawek ziemi na niej pozostają pod nieustającą obserwacją. Tysiące oczu śledzi za spadającymi bombami bakteriologicznymi. Natychmiast unieszkodliwiała się je, owady niszczą, uprzedzając ich jadowite ukąszenia.

W dzienniku straconego amerykańskiego lotnika majora Davisa zwrócił uwagę wieloznaczne zdanie:

„W Korei wkrótce rozpocznie się wiosna. Będzie

to szczególnie wiosna, wiosna milionów azjatyckich owadów”.

Znaczenie tego mglistego zdania rozszyfrowane zostało obecnie całkowicie. Lotnik Davis uważany był w Pentagonie za najlepszego pilota odrzutowego lotnictwa i przygotowywał się do zarzucenia Korei bombami bakteriologicznymi. Nie sądzonym było jednak majorowi Davisowi nacieszyć się widokiem zrzuconych bomb, gdyż „as” amerykański wdeptany został w ziemię wraz ze spalonym samolotem, jak miliony pasażerów amerykańskich zrzuconych na ziemię koreańską.

W nocy w Phenianie ludzie śpią czujnie. Znowu rozpoczęło się nieludzkie bombardowanie, znowu grzająca pył z ciężkich bomb przenika do podziemnych schronisk, znowu sanitarne samochody przelatują ulicami w ciemnościach, wioząc rannych i umierających ludzi. Lecz co noc w ukrytych podziemiach pracują drukarnie, przygotowując nowe wydania gazet.

Korespondenci Koreańskiej Centralnej Agencji Telegraficznej pomimo alarmów przeciwlotniczych i wybuchu bomb powolnego działania spleśniała zdawała sprawę z sytuacji w mieście. I rano, choć spokojnie minęła noc, na ulicach w witrynach z gazetami, na cudem ocalałych ścianach domostw pojawiają się nowe wiadomości. Przed witrynami tłumy ludzi. Na chwilę zatrzymują się robotnicy spieszący do pracy, przystając, przytrzymując na głowie koszyk z owocami gospodyni domu, podchodzi jakaś stara kobiecina w szerokim, białym ubraniu. Nie umie czytać, prosi, aby jej powiedziano, co przyniosły gazety. Robotnik w starszym wieku uroczyście czyta o wiecach, jakiego odbywają się w dalekiej, lecz bliskiej Moskwie, o miastach i wsiach Związku Radzieckiego. Czyta powoli, oddzielając każde słowo, aby wyrazić dobitnie gniew i nie-nawidzę rosyjskich braci do tych, którzy sieją bakterie w Korei. Niemłoda kobieta w samodzielnym ubraniu chłopskim patrzy na czytającego szeroko otwartymi oczami.

mi. Łzy spływają po jej twarzy, już opalonej słońcem wiosennym. Chłopczyk trzyma się rączką za jej spódnice. To jej młodszy syn. Dwóch starszych synów zginęło od cholery, ukąszeni przez jakieś dziwne zielonkawe muchy, które pojawiły się na schyłku zimy...

— Nie płacz — mówi życzliwie młoda Koreańska w żołnierskim mundurze — nie ty jedna jesteś nieszczęśliwa. Narody potrafią okiełzać amerykańskich bandytów. Z nami Moskwa, z nami Stalin, z nami wszyscy uczelni ludzie.

— Cały świat szumi jak morze — mówi starzec o kragłej czarnej czapeczce, wszyscy milkną przysłuchując się słowom człowieka, który przeżył na ziemi długie dziesiątki lat! — A jeżeli morze ruszy nie ma skały, która by wstrzymała na drodze rozszalałe fale!

Nikt nie zadaje pytań. Na Wschodzie lubią przysłowia i umieją zgadywać ich sens. I każdy, jak gdyby widzi szumiące, rozgniewane ludzkie

morze i skały już nadwątlone narastającymi uderzeniami fal, gotowe lada chwila runąć.

Miasto dawno obudziło się ze snu. Włoszanie niosą w koszykach pierwsze plody wiosny. Zieloną cebulkę i młode pączki czosnku. Przejżdżają robotnicy z taczkami napełnionymi piaskiem i żwirem. Mimo bomb padających w nocy, w dzień trwa odbudowa północnej stolicy Korei. Do gromadki czytających podchodzi dziewczyna o okragłej twarzy, na której słońce wiosenne pozostawiło już ślady.

— Świadectwa szczepień! — woła i wszyscy wyciągają z kieszeni z zawiniątek małe kartoniki, dowody szczepień ochronnych przeciwko bakteriom siarą przez bombowce amerykańskie. Dziewczyna z zadowoleniem kiwa głową i idzie dalej.

Nad Phenianem dumnym, wytrwałym, niezwykłym miastem wzeszło cudne, wiosenne słońce.

Thumaczył

h. b.



Pająki w śniegu. Taktów nigdy nie widziano w Korei. Zrzucili je Amerykanie



Muchy zakazane dżumą

Dr T. Nożyński

Jak powstają i zamierają rzemiosła

Czytając historię miast lub historyczne powieści z życia dawnego mieszczaństwa spotykamy się z niezwykle różnorodnym i licznym saniem rzemieślniczym ujętym w organizację cechową. Widzimy tam zawody, które istnieją do dziś, widzimy też takie, które przeszły później do przemysłu fabrycznego oraz takie, które wymarły i pozostawiły po sobie tylko mniej lub więcej znane i zrozumiałe nazwy.

Co powodowało takie zmiany w rzemiołstwie? Zależało to od zmian i rozwoju narzędzi i stosunków produkcji. W ciągu tysięcy lat, kiedy nie znano maszyn, trzeba było wytwarzać narzędzia, sprzęty, ubiory i broń ręczną. Dopóki potrzeby były proste i niewielkie, można je było zaspokajać sposobem domowym, tzw. gospodarczym, o czym wiemy choćby z poematów Homera, gdzie królowie achajscy i ich żony oraz służba sami robią sobie potrzebne rzeczy. W miarę jednak wzrostu zapotrzebowania i wymagań jakościowych produkcja domowa okazała się za małą i zbyt powolną. Tworzą się więc powoli „kadry” specjalistów rzemieślników zawodowych, produkujących tylko jeden produkt na potrzeby rynku. Takie zawody jak kowale, ślusarze, stolarze, szewcy, garncarze, piekarze, tkacze etc. występują już w odległej starożytności, o czym świadczą wykopaliska, malowidła ścienne w Egipcie i rysunki na wazach greckich.

Wytwory tych prawdziwych rzemieślników odznaczają się niejednokrotnie dużą trwałością i artystycznym. Większość tych prac wykonywanych w starożytności niewolnicy, choć nie brakło i wolnych zawodowców. Po upadku Rzymu, na przełomie epoki niewolniczej i feudalnej nastąpił na pewien czas kryzys rzemiosła. Feudalizm początkowo oparł swą produkcję na rolnictwie i znowu wyrabiano potrzebne przedmioty w domu. Dopiero w pełni feudalizmu rycerskiego, po wyprawach krzyżowych, mniej więcej od końca wieku XII i w ciągu w. XIII widzimy ponowny rozkwit miast a z nim i rzemiosł. Dokonał się wówczas podział zajęć między wsią a miastem. Feudalna rycerska wieś dostarcza żywności a kupiecko - rzemieślnicze miasta towarów i wyrobów.

Rzemieślnicy stanowią znaczny procent ludności miast i grają poważną rolę w ich życiu. Niekiedy kierują nawet — jak np. rzeźnicy paryscy w XIV wieku — rewolucjami i ruchami społecznymi. Podobnie było i w Polsce.

W dawnych aktach miejskich Poznania znajdujemy przez szereg wieków ok. 30 cechów rzemieślniczych, a wśród nich takie, po których nie ma dziś już ani śladu.

Spadek ilości i jakości rzemiosł rozpoczął się pod koniec epoki

feudalnej, w XVIII wieku, z chwilą wynalezienia maszyn i powstania przemysłu fabrycznego. Proste narzędzie zastąpiła maszyna, uważana przez przedsiębiorców nie za pomocniczą człowieka, lecz za instrument wyzysku, a miejsce rzemieślnika zajął — robotnik. I oto widzimy nowy kryzys rzemiosła.

W starych rejestrach rzemiosł widzimy nieznane nam dzisiaj takie, jak platnierz, szyflerze, pasamoniczy, białoskórniczy, kołtryniarze, puszkarze, hafciarze itd. Platnierz wyrabiał zbroje i części uzbrojenia rycerskiego. Wymagało to dużej zręczności i indywidualnego traktowania klientów (coś jakby krawcy i szewcy w metalu). Gdy rycerstwo straciło swe znaczenie, zbroje stały się zbędne i platnierz jako zawód wygasł na zawsze. Szyflerze robili oprawy i okładki drewniane go rusznicy, muszkietów i innej broni i też z czasem wymarli, gdy broń zaczęto produkować fabrycznie. Podobnie było i z puszkarzami, czyli odlewnikami armat, gdy zaczął je wyrabiać przemysł zbrojeniowy. Pasamoniczy trudnili się wyrobem ozdobyń tań, sznurów i obisz, czyli tzw. pasmanterii, białoskórniczy garbowali delikatne skóry, zamś, safiany i juchy, kołtryniarze zaś dostarczali wzorzystych obje na ściany, co później zastąpiono papierową tapetą. Oo garś przykładów zależności rzemiosł od zmian formacji gospodarczej i stosunków produkcji. Do rzemiosł pochłoniętych przez przemysł należy jeszcze zaliczyć sukiennictwo, tkactwo i przedziałnictwo, mydlarstwo, wyrób wosku i świec, piwowarstwo, odlewnictwo metali i dzwonów, smolarstwo i węglastwo drzewne oraz pewne gałęzie ceramiki (szkło porcelana, fajans) itd.

Niektóre tylko rzemiosła wyszły zwycięsko z walki z maszynami. Są to rzemiosła o typie usługowym i pomocniczym, które zaprzęgly maszynę do pomocy w pracy ręcznej. Należą tu: krawcy, szewcy, rzeźnicy, piekarze kowale, ślusarze, stolarze, murarze, kominiarze, blacharze, bednarze, fryzjerzy, i ci przetrwali nadal, gdyż maszyna nie zastąpi całkowicie człowieka przy naprawie ubrań i obuwia, czyszczeniu kominów i kuciu koni, wznoszeniu murów, goleniu, strzyżeniu i fryzowaniu naszych głów.

W miejsce zaś wymarłych pojawiły się nowe rzemiosła, jak instalatorzy, elektrycy, monterzy i radio-technicy, betoniarze itd. Ustrój socjalistyczny docenia ważność i potrzebę rzemiosła i w gospodarce planowej ma ono swoje miejsce i swe zadania, które obok przemysłu służą do budowy lepszego jutra. Maszyna, jak już powiedziano, jest tylko pomocnikiem i ułatwieniem pracy, decydującym zaś i kierującym czynnikiem pozostaje zawsze umysł i ręka człowieka.

Co czytać?

1. „Przegląd Zachodni” nr 1/2 1952.

Najnowszy numer tego organu Instytutu Zachodniego w Poznaniu przynosi serię rozpraw i artykułów o Śląsku pod ogólnym tytułem „Studia Śląskie”, które opracowali pracownicy naukowej wrocławskiego oddziału Instytutu Zachodniego. W aktualności poruszonych zagadnień wprowadza nas artykuł wstępny dyrektora Instytutu — prof. Z. Wojciechowskiego pt. „Jedność ziem nad Odrą i Wisłą”, który, na tle dążeń do remilitaryzacji Niemiec, polemizuje z historykami zachodnio-niemieckimi i ich poglądami na przeszłość naszych Ziemi Zachodnich. Podkreśla ważność i konieczność naszych badań nad historią ludności polskiej na Śląsku i jej narodową świadomością w przeszłości. Na dalszą treść numeru składają się prace z dziejów ludności, wsi i miast śląskich: „Wielkość ludności w połowie XVIII do połowy XIX wieku” (S. Wyslouchi), „Ocena statystyki śląskiej w dobie absolutyzmu światłego 1741—1805” (T. Ladogórski), zawierająca bogaty materiał liczbowy oraz omówienie założeń, celów i metod statystycznych pruskiej biurokracji na tle porównawczym ze statystyką kościelną - parafialną. Słuski społeczno-gospodarcze dawnego Śląska omawiają rozprawy: „Rozwój załudnienia Ziemi Kłodzkiej w XVIII wieku na tle przemian gospodarczych i społecznych” W. Dzieluskiego, „Postępowanie ułuszczeniowe na G. Śląsku” K. Orzechowskiego i „Komasacja gruntów w Starym Koźlu w latach 1861—1878” K. Jancy. O „Opolu w r. 1787” pisze St. Golachowski, a „Kartki z dziejów Chorzowa” podaje P. Dubiel. Uzupełniają numer, jak zwykle, korespondencje i kronika Czechosłowacji i Niemiec współczesnych. Całość niezwykle interesująca i ciekawa.

Ciekawe okazy flory i fauny

Skarby przyrody Wielkopolskiego Parku Narodowego

Krajobraz Wielkopolski był niegdyś bardziej malowniczy. Dziś, wskutek zniknięcia rozległych puszczy, stracił nie tylko na uroku — zubożał również jako teren pracy i naukowych zdobyczy dla przyrodnika.

Jedynie w mało dostępnych zakątkach albo specjalnych rezerwach*) istnieją jeszcze tereny o bogatym składzie gatunkowym roślin czy zwierząt.

Do rezerwatów takich w okolicy Poznania zaliczyć można m. in. Wielkopolski Park Narodowy, jeden z najlepiej dotychczas zbadanych w Wielkopolsce rezerwatów (przeszło 70 proc. naukowych), kryjących w swoim wnętrzu wiele ciekawych a nawet rzadkich okazów.

Ten wielki rezerwat — podlegający — jak wszystkie — specjalnej ochronie — liczy ogółem przeszło 9000 hektarów: w tym 4200 ha lasu i 4800 ha wód, na które składają się jeziora Góreckie (największe — przeszło 100 ha), Budzyńskie, Kociołek, Skrzynka, Dymaczewskie i Jarosławieckie.

Na resztę obszaru przypada grunta orne i osiedla. Wszystko to mieści się w granicach, zawartych mniej więcej między linią kolejową do Steszewa (północ), kanałem Mosińskim (południe) i Wartą (wschód).

Falstaj na ogół teren Parku (parowy, wzgórze, wały) wskazują, że wkróciliśmy jakby do wielkiego muzeum przyrody. Istotnie: stoimy wobec ciekawych zabytków krajobrazu lodowcowego.

Sklada się na nie pradolina warszawsko-berlińska, skrajająca od Mosiny przez Krosinko na zachód i dolina przełomowa Warty. Tutaj wyłaziły sobie drogę wody topniejącego lodowca. Najważniejszym może zabytkiem w tym „muzeum” jest morena czołowa, tak zwana mosińska, należąca do środkowo-poznańskiej moreny czołowej.

Na skutek wyżłobienia w niej przez warko płynące wody**) wglębień — tak zwanych rynien polodowcowych — morena ta po części została na kilka części: dymaczewską, piskorzewską, krosińską, pożegowską, puszczykowską i wierską. Potężna praca tych wód spowodowała różnorodność rzeźby terenu (jary, doliny), dającą początek pięknu, które dzisiaj podziwiamy. W tych wglębiach (nieckach) powstały również na nieprzepuszczalnych łach poznańskich wspomniane jeziora.

Dziś Wielkopolski Park Narodowy — dzięki tej różnorodności terenu, składnikom gleby itd. — posiada niezwykle urozmaicone warunki bytowania skupiając wielkie bogactwo rozmaitych gatunków roślin i zwierząt.

Do rzadkich okazów, bytujących w Parku w runie sośniny należy m. in. drobny zimozioł (Linnaea borealis). Obszar jego rozmieszczenia obejmuje głównie północną Europę, u nas pojawia się głównie w górach.

Podobnie rzadkim okazem jest zakwitający wiosną nad jeziorem góreckim goździk

siny (Dianthus caesius), występujący w Polsce tylko w kilku miejscach (Poznańskie, Śląsk i Góry Świętokrzyskie). Nad tym jeziorem spotykamy również kilka okazów ginących w Wielkopolsce jarzębiny klonowej (brzek). Nie sposób tu wylizyć różnych fiołków przedziwnych (viola mirabilis), kruszczyków rdzawych (sterczyk), dzwonków bolonkich, prztytuli leśnych, pięciorników, miodunek i innych pięknych albo zabytkowych — godnych ochrony roślin. Ogółem znaleziono ich dotychczas na obszarze Parku około 1000 gatunków. Z uwagi na rzeźbę terenu znajdujemy tutaj miejsca odkryte i nasłonecznione oraz ciemne i torfiaste. Pierwsze skupiają dużą liczbę form po ludniowych i południowo-wschodnich jak np. rukiewnik podróżnikowy (Bunias orientalis), lilowy wężymord (scorzonera purpurea L.). W lasach spotykamy sprowa-

dzone w ubiegłym wieku gatunki drzew obcych lub egzotycznych jak robinia fałszywa, akacja, żywotnik olbrzymi i inne.

Niemniej ciekawą roślinność posiadają jeziora Parku — za wyjątkiem jeziora Skrzynki — typowe zbiorniki obfito-żywno (eutroficzne) dla roślin i zwierząt.

O ile chodzi o zwierzęcą łowną rezerwat jest w nią raczej ubogi. Z gadów i płazów rozpowszechniony jest żaskroniec i niejadowity wąż gniewosz miedzianka.

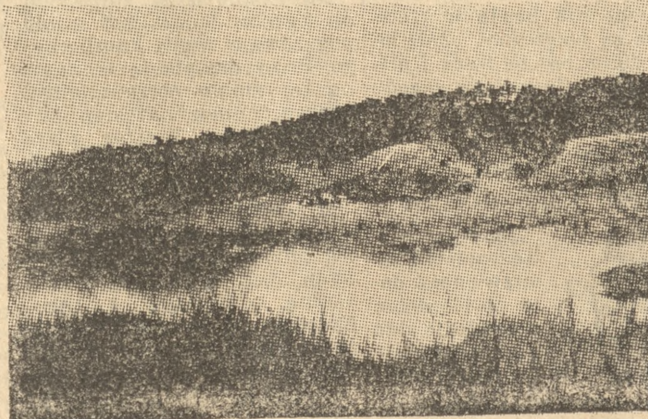
Jak się zdaje na wymarłym: ślimak austriacki, północny motyl ślaczkoń, rzadka roślina błotna kaldeja przewrotnolista.

ROMAN CECHSZYŃSKI

*) Jest ich 177 na terenie woj. poznańskiego i podlegają specjalnej ochronie.

**) erozja.

***) entomologia — nauka o owadach.



Jezioro Budzyńskie